

TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



No. 68.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 2, miesięcznie
Kop. 67 i pół.

Warszawa, 30 grudnia 1860/1-
12 stycznia.
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM III.

TREŚĆ NUMERU.

Dominik Szulc (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Odrzwi kamienne w Bibliotece Jagiellońskiej ego uniwersytetu w Krakowie (z drzeworytem). — Wlecia (z drzeworytem). — Komunikacye. — nyst i handel. — Samuel Maciejowski (dokończenie). — Rozmaitości. — Sprostowanie artykułu „Pokój Tadeusza Kościuszki w Solurze.” — Korrespondencya od redakcyi. — Kronika sztuk pięknych (z cynkotypem). — Szachy i rebus.

Dominik Szulc.

Któż u nas nie zna szczątków tych ludzi, o męskiej duszy, żelaznym harcie ciała, którzy młodością swoją początków jeszcze bieżącego wieku sięgając, zdają się rzadkimi niedobitkami przeszłości tak odległej, że skarłowaciałemu naszemu pokoleniu we mgle zaledwie ukazywać się ona może? Powoli jeden po drugim opuszczają oni nas; niedawno jeszcze dość liczni, zaledwie kilku ich dotąd pozostało, a zgrzybiałi wiekiem, starzani na siłach, nieraz jednak dla nas, stosunkowo tyle młodszych od nich, stają się wzorem. Ale istniał u nas, i istnieje dotąd po części, inny zastęp ludzi. Rozbitki to z innych czasów, ludzie wysokiego i gruntownego wykształcenia, nie samouczki, tak jak my w ogóle prawie jesteśmy. Każdy z nich był niejako środkiem, około którego młodsze pokolenie mogło się gromadzić, każdy z nich temu młodszemu pokoleniu chętnie udzielał zasobów z tego skarbcza wiadomości, który niegdyś pospółu uzbierali. Dzisiaj ich mało, coraz mniej, a strata to niepowetowana, bo któż ich zastąpi?

Otóż Dominik Szulc był jednym z tych ludzi, jednym z młodszych — wprawdzie, ale dotykał się on tych dwóch tak różnorodnych pokoleń, i ztąd to pochodziła ta jego surowość sądu, na którą wielu się uskarżało, która mu tylu narobiła nieprzyjaciół. Pamiętał szczerze światło słoneczne, cóż więc dziwnego, że do naszych sztucznych blasków przyzwyczaić się nie mógł? Skąpy nasz towar umysłowy mierząc dawnym, wielkim łokciem, uskarżał się na oszukaństwo kupców; zapomniał o tém, że i ci co mieli ten towar przywodzić na siebie, znaleli także.

Dominik Szulc urodził się w gubernii mińskiej, w powiecie tegoż nazwiska 1797 r. 10 kwietnia, z rodziny z pradziadów tamże osiedloniej. Nauki gimnazyalne odbywał w tym właśnie czasie, kiedy Jan Śniadecki najtroskliwiej chodził około zaprowadzenia nowego systemu edukacyjnego i uchyleniem osób nieodpowiednich potrzebie czasu szkoły szybko podnosił; znalazł więc dobrych przewodników, szczególnie w naukach przyrodzonych i języku greckim.

Przybywszy w roku 1815 do uniwersytetu wileńskiego, składał egzamen wstępny z Mickiewiczem i zapisał się na oddział literatury, na którą przez trzy lata uczęszczał, a która mu z łatwością przychodziła, bo na wstępie do uniwersytetu mógł już czytać w ory-

ginał autorów nietylko francuzkich i niemieckich, ale łacińskich i greckich. Uczęszczał potem, także przez trzy lata, na wykład historii powszechnej, a w wolnych godzinach na chemię i nauki przyrodzone, które do zgonu były jego najmilszym zatrudnieniem, na historią sztuk pięknych i literaturę włoską.

W r. 1818 polecony był rządowi uniwersyteckiemu na nauczyciela historii do Krzemienia; professor Grodecki jednak, obietnicą wysłania go za granicę, zatrzymał go przy gimnazjum wileńskim, jako nauczyciela języka polskiego. Tu w r. 1819 tłumaczył z oryginału greckiego na język polski rozmowy saty-

W roku 1823 wezwany do gimnazjum białostockiego na profesora krasomówstwa i logiki, pozyskał miłość i szacunek nietylko słuchającej jego wykładu młodzieży, ale i współobywateli. Powszechny też towarzyszył mu żal, gdy w r. 1835 powołany został na profesora przy gimnazjum lubelskim. Wezwany ztąd przez Radę uniwersytetu św. Włodzimierza w Kijowie do zajęcia posady lektora języka polskiego, wymówił się od tego zaszczytu interesami familijnymi. Tu w roku 1838 czytał piękną rozprawę *O teraźniejszem umysłownawstwie*, na zamknięcie kursów gimnazjum lubelskiego. W tymże roku mianowany członkiem korespondentem towarzystwa naukowego krakowskiego, a r. 1846 członkiem Cesarzowskiego Towarzystwa geograficznego rossyjskiego.

Od roku 1823 do 1840 nie prawie nie pisał, ale bardzo wiele czytał, notował i robił postrzeżenia. Dopiero będąc przeniesionym w r. 1840 do Warszawy, rozpoczął zawód pisarski. Prace jego w tym peryodzie podzielić można na trzy rodzaje: historyczny, literacki i filozoficzny.

Długo bardzo badania dziejowe starożytnej Polski opierały się o Odrę, która jak mur miała oddzielać ten kraj od narodów postronnych. Dominik Szulc przedsięwziął okazać z najdawniejszych dyplomów i kronik, że naród polski, podzielony na osobne księstwa, rozciągał się do granic duńskich i dolnej Wzery. Tym sposobem przyczynił dziejom krajowym wielką krainę Lutocyan, z jej gałęziami: Studzian, Lubiążan, Obrzytów, Linowian i Sierpian, inaczéj zwanych Serbami. Wydobycie nazwisk polskich, najczęściej przekształconych do niepoznania przez pisarzy, niemieckich, z wielką połączone było trudnością. Szulc jednak wywiązał się z tego zadania z gruntowną znajomością rzeczy. Pod względem części wschodniej kraju panowały także liczne przesady, puszczane w obieg przez Krzyżaków. Można otém mieć wyobrażenie ze zdania najznakomitszych pisarzy współczesnych, którzy wyprowadzali na przykład nazwę Torunia, od bożka skandynewskiego Thora. Szulc wykazał nietylko istnienie tego miasteczka polskiego przed przybyciem Niemców, ale i nazwę jego Tarnowo z Sarnickiego i dyplomatu z roku 1222 wydobyl. Dalsze jednak badania wyświeciły, że gdy Tarnowo było darem biskupa plockiego dla Krzyżaków, a przytoczony dyplom liczy między zburzonymi twierdzami Głębokie Turzno, jako własność rządową, przeto wieś kościelna Tarnowo w pisowni ówczesnej oznaczała prawdopodobnie wieś Czarnowo, leżącą dalej nad Wisłą, a Głębokie Turzno zdaje się być właśnie dzisiejszym Toruniem, zbudowanym na pochyłości góry. Turzno nawet bliżej odpowiada niemieckiemu przerobieniu Thorn, i Kopernik w album krakowskim zapisał pochodze-



DOMINIK SZULC.

ryczne Lucyana, drukowane w Tygodniku wileńskim. Z uniwersytetu, obok wdzięczności dla swoich profesorów, wyniósł on szczególną cześć dla geniuszu Śniadeckich. Bardzo się też cieszył że wykład języka polskiego zbliża go do Jana Śniadeckiego, który bywając na egzaminach, wielką mu okazywał życzliwość, zwracając uwagę jego na szkodliwy kierunek zasad niemieckich w oświacie narodowej. W r. 1821 wydał dwie grammatyki łacińskie, początkową i przekład Bredera.

nie swoje *de Thurum*. Następnie udowodnił polskość ziemi kwidzyńskiej, lubowskiej i gołęzińskiej, zaprzeczoną przez historyków. Podlasiów też, uznawanych za Jadzwingów litewskich, przywrócił narodowości polskiej.

Dowody na te odkrycia złożył w pismach: *O Pomorzach zaodrzańskich i o znaczeniu Prus dawnych*. W rozprawie zaś umieszczonej w *Gazecie Warszawskiej* z r. 1852 nr. 325, pod nazwą *O powstaniu miasta Berlina z Kolna szląskiego*, udowodnił że dzisiejsza stolica Prus powstała z miasta polskiego Kolna.

W literaturze Szulc rządził się przekonaniem, że opisywanie książek małej wartości, zamiast podniesienia umysłu, pogrąża go w płaskości, na zewnątrz zaś nie wzbudza uszanowania dla narodu, mającego tyle znaczenia w oświacie europejskiej. Uczuł więc potrzebę napisania literatury, któraby jasno wskazywała, że w niektórych naukach Polska wyprzedziła społeczeństwo europejskie, a w innych szła z niem na równi. Wzmianka zaś o pisarzach wstecznych lub nieruchomych posłużyć mu miała jedynie jako przeciwieństwo do wyświecenia utworów znamienitszej wartości. W tym celu podawał artykuły do *Przeglądu naukowego*, noszące napis: *O rozwoju umysłu polskiego w piśmiennictwie*; potem zaś przystąpił do napisania samej literatury, z poglądem krytycznym na piśmiennictwo europejskie. Częściowe artykuły podawał do Biblioteki Warszawskiej, a po ukończeniu całego dzieła miał wyłuszczyć w przedmowie pobudki swojego przedsięwzięcia. Za dodatek do tej pracy uważa można pismo o narodowości i wynalazkach Kopernika.

Co do filozofii, Dominik Szulc, wśród powszechnego zamętu wyobrażeń heglowskich, nowo-szellingowskich, mistycznych i messyańskich, uznał za rzecz przyzwoitą zwrócić uwagę powszechności na filozofia umiejętną, rodzinną, która od trzech wieków taką sławą okryła naród polski u postronnych ludów. W dziełku więc *O źródle wiedzy tegoczesnej*, wykazał korzyści owych prawd zasadniczych, które najkrótszą drogą prowadzą do cywilizacji i są zaszczytem teraźniejszego wieku (*).

Jako człowiek i nauczyciel, Dominik Szulc w wyższym niezawodnie stopniu od wielu swoich kolegów, posiadał dar ujmowania sobie młodzieży, pobudzania jej do działalności umysłowej, do pracy poważniejszej. Pogląd jego na dzieje, rozległy i wszechstronny, a zawsze postępowy, dziwnie trafiał do przekonania młodych jego słuchaczy; ztąd przywiązanie ich szczerze do nauczyciela i sympatya jaką budził w umysłach, mimo paradoksalnych nieraz przypuszczeń i hypotetycznych wywodów. Gorąca miłość spraw krajowych i niezłomność przekonania przebiegały w każdej jego pracy, w każdym niemal słowie; więc chociaż na polu badań naukowych wielu liczył przeciwników, nikt jednak nie odmawiał mu szacunku i uznania. Niezszczęsną swoją chorobą, która go o utratę wzroku a w końcu życia przyprowadziła, znosił ze stołością i wytrwałością wielką. Za każdą oznakę współczucia wdzięcznym był nieskończenie. „Świat mnie nie przyzwyczaił do dobrego, mawiał, dzięki więc za każdą radość jaką mi sprawia, bo to dowodzi że tu lepiej jest aniżeli sam myślałem.“ Zamknięty w sobie, jak wielu ludzi pracujących w cichości, rzadko się udzielał, mało komu otwierał skarbnicę swego serca; ale gdy się rozgadał lub pochwycił za pióro, słowo jego płynęło jedrnie i z zapalem. Pamięć Szulca na długo pozostała niewygasła w gronie licznych jego uczniów, i niezawodnie najszacowniejszy to dlań pomnik. Warto by jednak pomyśleć i o skromnym kamieniu na jego grobie. Redakcyje innych pism czasowych oświadczyły już gotowość przyjmowania wszelkich w tym względzie ofiar; i my więc od dnia dzisiejszego przyjmować je będziemy i w czasie właściwym zdamy z nich rachunek.

Umarł w Warszawie dnia 27 grudnia 1860 r. w 64 roku życia. Liczny orszak przyjaciół wszelkiego wieku i stanu towarzyszył mu do grobu, a trumnę jego dawni uczniowie i koledzy ponieśli na barkach z miastą aż na cmentarz powązkowski.

Kronika tygodniowa.

Wierzaj mi, szanowny panie bezimienny, który mię zaszczyciłeś swoim listem, że jakkolwiek miłe sercu memu jest współczucie z jakim się oświadczaś, to z drugiej strony, chociażbym się naraził na utratę tego wspaniałego sentymentu, co serca nasze

(*). Wyliczenie prac naukowych Szulca i przytoczone szczegółowo biograficzne, wyjęliśmy po większej części z własnoręcznych jego notat.

łączy, nie mogą żadną miarą wdawać się w polemikę i powstawać przeciwko pismu, na które się pan zalisz. Już kilkakrotnie miałem sposobność oświadczyć w tych szpaltach moje wyznanie wiary w tym względzie. Przy moim dziennikarskim rzemiośle trudniąc się po trosze i autorstwem, zacepiony sam nawet, nie mam zwyczaju odpowiadać; wiem bowiem dobrze że wszystko cokolwiek o nas nieprzychylnego piszą, wydaje nam się złością i oszczerstwem, ale czy to się innym tak wydaje, to pytanie jeszcze. Polemiki zaś i pustych sprzeczek na pióra w żadnym razie rozpoczynać i ozywiać nie myślę; dość i zawiele już mieliśmy tego kłólu, przygłuszającego zdrowe ziarno plonów literackich.

Sądzę że każdy z piszących u nas obecnie mniej więcej temi samemi ozywiony jest uczuciami. Mogą się opinie nie zgadzać z sobą, ale nie widzę powodu dłaczego wyjawiając nasze, mielibyśmy zaraz z góry zdanie drugich potępiać. Ci co różnemi idą drogami, przekonają się kiedyś, która lepiej i dogodniej do celu prowadzi; ale idąc nie potrzebują rzucać kamieni, żeby innym zawadzały w drodze, bo to im nie pomoże, a dobra ogólnego nie podniesie. W tym powszechnym turnieju, do którego tylu współzawodników na raz występuje, ogół jest najlepszym sędzią i rozdawcą nagród. On sprostuje niesprawiedliwości, jeśli jakie popełnione były, i nagrodzi krzywdy. Pozostaw więc, panie bezimienny, sprawę swoją temu wyższemu uznaniu, albo też, jeżeli koniecznie już pragniesz walki, wystąp sam na plac boju, a nie chciej się zastawiać moją nieudolnością. Każdą kwestyą dotyczącą sprawy ogółu podnoszę chętnie, nawet z narażeniem własnym, co się zaś prywatnych zatargów tyczy, niechaj one załatwiają się na tém polu, na którym się rozpoczęły.

Mamy już tedy pewną wiadomość, że i w tym roku komedye nadesłane na konkurs nie chybią wcale co do liczby i że Biblioteka Warszawska ma wybrać z grona swojego sędziów. W każdym razie nie zardzościmy ani konkurującym, ani sędziom, ani nawet przyszłym premiiowanym, jeżeli będą. Bo ponieważ zawsze większa jest liczba tych co nie wezmą premium i co do grona sędziów nie będą należeć, atacy są już urodzonymi krytykami tamtych, więc wszystko cokolwiek będzie i jakkolwiek będzie, wyda się złe. Zresztą najgłówniejszy cel chybił, bo dotąd jeszcze tak z zaprzęśłego jak i z przeszłego roku komedye uwieńczone czekają na przedstawienie w teatrze. Jeżeli więc pod tym względem ma się zachować jakąbądź hierarchia, to komedya w bieżącym roku uwieńczone, może mieć nadzieję że na początku przyszłego wieku doczeka się przedstawienia. Wprawdzie powiedzianem jest w bajce, że „sto lat chwilą nazwał człowiek,“ ale widocznie ten człowiek nie musiał czekać na przedstawienie komedyi swojej na scenie, bo w takim razie liczyć na dziesiątki i setki lat, to trochę za wiele.

Inny, daleko ciekawszy konkurs w tych czasach ogłoszony został we Lwowie. Dyrekcyja tamtejszego teatru niemieckiego rozpiśła trzy nagrody, każda po dwa dukaty, za najlepszego mazura, kadrylla i polkę *tremblante* na tegoroczne reducy. Wszystkie nadesłane tańce miały być odegrane na pierwszej reducy przez *bandę* (sic) *muzyczną* c. k. pułku piechoty arcyksięcia Józefa, sama zaś publiczność miała głosować na nagrody.

Niewiadomo nam czy konkurs odbył się już podług zapowiedzianego programu, ale nie wątpimy że niebrak było konkurujących; bo cóż to za szczęście słyszeć swoje dzieło odegrane na reducy przez *bandę muzyczną*, nie licząc już dwóch dukatów, chociaż nie wiadomo nam czy te w złocie, czy w papierach miały być wypłacone. Szczęśliwe to miasto ten Lwów, gdzie dyrekcyja teatru niemieckiego tak dbała jest o postęp sztukil....

Pisaliśmy już kilka razy o składzie towarów założonym w Ossakowie; donoszą nawet że skład ten, rozszerzając się ciągle, w coraz pomyślniejszym znajdować się ma stanie. Takich składów na prowincyi znajduje się już kilka, a samo powodzenie ich jest już niezbitym dowodem ich użyteczności. Owóż donoszą nam że w Warszawie jest zamiar założenia podobnego składu, a rozwinięcie i przyprowadzenie do skutku tego zamiaru, przyjęła podobno na siebie osoba znana tu dobrze z czynności jaką rozwija w różnego rodzaju dobroczynnych przedsięwzięciach. Niewiadomo nam jeszcze na jakich zasadach zebrany będzie fundusz potrzebny do założenia tego składu, sądzimy jednak iż da się to łatwo uskutecznić za pomocą akcyj. Znika już bowiem powoli wstępną naszą do czynności zbiorowemi przedsiębranych siłami, owszém, wielokrotnie mieliśmy sposobność przekonać się, że przedsięwzięcia tego rodzaju, byleby urządzeniu ich przewodniczyła myśl zdrowa a użyteczna, koniecznie mu-

szą mieć powodzenie. Zamiar o którym wspomnieliśmy z łatwością może być doprowadzonym do skutku, bo wszyscy co w urzeczywistnieniu go upatrzą własną korzyść, a takich powinno być bardzo wielu, wszelkimi siłami będą mu dopomagać.

Następujący wypadek zdarzył się niedawno w Paryżu, a wiadomieni zostaliśmy o nim listem prywatnym.

W pewnej restauracyi siedzieli dwaj młodzi ludzie, obydwoj z Warszawy. Było to w hotelu. Naprzeciwko nich usiadło jakieś małżeństwo, widać świeżo przybyłe, a na pozór dość niedobrane. Żona młoda i ładna, mąż garbaty, brzydki i w ogóle nieprzyjemnej, jak na pierwsze wejrzenie, fizyognomii.

Może czytelnicy nasi wiedzą o tém, a może i nie wiedzą, jeżeli nie często bywali za granicą, że turyści nasi, którzy w kraju mają manią odzywiania się zagranicznym językiem, gdy się znajdują w Niemczech lub we Francyi, mówią zwykle do siebie po polsku. A nie trzeba im nawet za to wielkiej oddawać pochwały, bo o ile się nam zdaje, pochodzi to więcej z chęci odróżniania się od innych, aniżeli z miłości rodzinnego języka.

Owóż nasi dwaj młodzi panowie rozmawiali z sobą po polsku, a przekonani że ich nikt nie rozumie, dawali folę złośliwości i dowcipowi, w różny sposób o obecnych się odzywając.

Celem jednak najzjadliwszych pocisków i szyderstw była para naprzeciwko nich siedząca, a raczej tylko strona męża tej pary.

— Nie rozumiem, mówił jeden, jak taka młoda i ładna kobieta, mogła sobie wybrać takie straszdyło za męża.

— To przez kokieterya, odrzekł drugi, żeby się lepiej przy nim wydać.

— A ja ci ręczę, że po prostu mówiąc zaprzedała się. Ten jegomość musi być bardzo pieniądze, a we Francyi tego rodzaju związki są rzeczą zwyczajną.

— Jaka to niemoralność... biedna kobieta!

— E, daj pokój, da ona sobie radę. Widocznie szuka wrażeń. Czy widzisz jakie wejrzenia rzuca na nas?

— A i on też spogląda dość ciekawie.

— Widocznie zaintrygowani jakim my mówimy językiem. Wiész co, odezwyj się do mnie po niemiecku albo po angielsku, to dopiero nie będą wiedzieli czego się trzymać.

— Nie zadawajcie sobie panowie trudu, odrzekł najczyściej po polsku ów pan, o którym się tak niekorzystnie odzywali przed chwilą; już z tego coście panowie powiedzieli, wiem dobrze jak mam trzymać o panach.

Był to bowiem Polak, podróżujący z żoną dla zdrowia. Nastąpiło podobno wyzwanie; niewiadomo nam jednak jaki obrót rzeczy wzięły dalej.

Przeminieliśmy już porę tak nazwaną kolędową, która właściwie od Bożego Narodzenia do Trzech Króli się rozciąga. Dawniej owe dwa tygodnie wyłącznie były przeznaczone na noszenie szopek, gwiazd i innych tego rodzaju przedstawień, tak ulubionych przez dzieci. Obecnie chłopcy roznoszący szopki, rozciągnęli arbitralnie termin swoich przedstawień poza czas im właściwy i aż do końca karnawału prowadzą nieprzerwanie zyskowne swoje rzemiosło.

Nie mielibyśmy nic przeciwko temu, boć wolno każdemu obierać sobie jaki chce zarobek, ale razi nas zmiana jaką od pewnego czasu w szopkach spostrzegamy. Przed trzema latami sprowadzono tu na wzór jakąś szopkę z Niemiec, z kortyną, dekoracyami, kulisami i nawet figurkami mechanicznymi, bo król Herod kłękł i diabeł spuszczał się z obłoków porywa go w powietrze, co nawiasem mówiąc sprzeciwia się wszystkim naszym diabelskim tradycjom. Ale mniejsza o to; widać że diabeł u Niemców zamiast pod ziemią, w obłokach obrał sobie mieszkanie; wprowadziły go tam widocznie rozprawy germańskich filozofów, więc niechże sobie i siedzi, kiedy mu z tém dobrze. Wszystko to pięknie, ale nie była to już szopka, tylko raczej teatrzyk, bo prawie ani znaku tam nie dostrzegłeś owych dawnych przybrów szopkowych, nieodstępnych od tego rodzaju przedstawień.

Ponieważ nowość ta podobała się, jako nowość, na wzór tego teatrzyku zrobiono tu kilka innych i zaczęły one szczęśliwie współzawodniczyć z dawnymi szopkami. A ponieważ figurki były zupełnie odmienne, podobnie jak użycie ich, zaczęto również odmieniać i słowa i nutę, kraść różne piosenki z teatru i t. d., słowem prawie nic nie pozostało z dawniej szopki. Jakieś melodramatyczne sceny Heleny ze zbójcami, jakiś Anglik wybierający się za morze, jakiś myśliwy sprzeczący się z arendarzem o ustrzelonego zająca i t. d. Nie śpiwają prawie kolęd, znika dawny repertuar, bo już i reszta chłopców na nową modę kroi. Szkoda. Szopka była dobra jako zwyczaj narodowy, jako teatrzyk nic potem. Przeszłego roku w oso-

bnym artykule staraliśmy się wykazać jaka myśl tkwiła w jasełkach. Niechaj dzieci uczyć się sobie dawnych kołęd, nie im to nie zaszkodzi, ale co im po śpiewkach teatralnych, często podejrzaną moralności?

Upewniano nas, że jeden z tutejszych badaczy ludowych, miał zamiar odtworzyć dawne jasełka, budując szopkę na urząd, według dawnych tradycji, i oczyszczając śpiewy z wszelkich zagranicznych wpływów, owszem poprawiając je i tworząc nowe w myśl dawnych. Może lepiej byłoby sprowadzić tu jakąś szopkę krakowską, zachowały się bowiem tam one w dawnej czystości, a starannością wyrobu śmiało z niemieckimi mogłyby współzawodniczyć. Przynajmniej choć ta sukcesyja po dawnych żakach nie zaginęła w zupełności.

Zauważyliśmy w tegorocznych szopkach jedną zupełną nowość. Są to umyślnie dorobione śpiewki na krynoliny, z których utkwiła nam w pamięci jedna strofka:

Kupiłem ci krynoline
Ze siedmiu obręczy.
Jak mnie będziesz bardzo prosić,
Nabiję ich więcej.

Widocznie krynoliny idą w górę... kiedy aż honoru szopkowego doczekały się.

W Piotrkowie, gdzie dotychczas istniało parę tylko antykwarjuszowskich kramów z książkami, pan Adolf Marczewski założył obecnie księgarnię. Dobra to wiadomość dla okolicznych obywateli, pan Marczewski bowiem, wykształcony w księgarni Gebetnera i Wolfa, obeznany jest dobrze z teraźniejszym ruchem (niektórzy powiedzieliby stagnacją) literackim i potrzebami czytelnictwa.

Towarzystwo zachęty sztuk pięknych rośnie z każdym dniem powiększając się liczbą członków; jest to dowodem że nie zbywa tutaj na popierających sztuki, wtedy zwłaszcza, gdy tanim kosztem, mając przytęm nadzieję wygrania czegoś dobrego, kupuje się tytuł miłośnika i protektora sztuk pięknych. Komitet, wybrany z grona członków, coraz obszerniej rozwija swoje czynności, zajmując się organizacją Towarzystwa. Dotychczasową wystawę krajową objął on pod swoje zawiadywanie i nosić ona będzie odtąd nazwę „Wystawy towarzystwa zachęty sztuk pięknych;“ zarządził przytęm zmianę obrazów tam znajdujących się, które nowymi, o ile można, zastąpione zostaną. Do czynności przygotowawczych komitetu policzyć należy ogłoszenie konkursu na pieczęć Towarzystwa, mającą je niejako symbolizować. Wybór najstosowniejszego z przedstawionych projektów już nastąpił; przyjętym został rysunek p. Kossowicza, który może w swoim czasie Tygodnik Ilustrowany zamieścić. Pieczęć ta przedstawia trzy figury siedzące, w stylu starożytnym i pięknego rysunku, z odpowiednimi godłami: malarstwo, rzeźbę i architekturę. Po za niemi góruje religia. Prawa jej ręka wzniesiona do błogosławieństwa, w niej trzyma krzyż, godło chrześcijaństwa; głowę ma okrażoną trójkątną glorią, a cała rozsiewa z siebie naokoło promienie, przez co wykazuje że jest nie tylko natchnieniem i życiem dzisiejszych sztuk pięknych, lecz zarazem czujną ich Opatrznością. W tej myśli chciało się strześcić dążenie i kierunek jaki sobie sztuki zakreślają, to jest że trzymając się co do formy pięknych wzorów starożytnych, duchem chrześcijańskim powinny je ożywiać.

Od pewnego czasu namnożyło się tu kartek pogrzebowych na rogach ulic. Mnóstwo codziennych orszaków żałobnych podąża na Powązki, tak że karawaniarze zaledwie mogą starczyć na tyle zajęcia. Pamiętamy, że czytając opis karawaniarzy paryzkich Balzaka, zdawało nam się, iż autor ten przesadza, albo przynajmniej że rasa tamtejszych karawaniarzy odmienna od naszych. Tymczasem obecnie przekonaliśmy się, że tutejsi roznosiciele żałoby w niczem zgola paryżkim nie ustępują, owszem w pewnym względzie są jeszcze nieczulszymi od nich. Widzieliśmy niedawno, jak po zakopaniu ciała przy wyjściu z cmentarza, orszak tych czarnych kruków, jak ich lud nasz nazywa, otoczył osobę, która poniosła najdotkliwszą stratę, upominając się o *datek na pivo*. Tęm bardziej to jest naganne, że już jak wiadomo u nas pogrzeby bardzo drogo kosztują, a w takich razach nikt nie myśli robić oszczędności, i ci którzy trudnią się urządzeniem orszaku żałobnego, nie zapominają i o karawaniarzach, którzy za swoje *fatyge*, oddzielną jeszcze zwykle zyskują zapłatę. Ale ci ostatni, widząc kogoś zroszaczonego, sądzą może, że to właśnie najwłaściwsza pora do wydrwienia z niego pieniędzy. Pojmujemy że ktoś goni za zarobkiem, ale tego rodzaju szukanie zarobku, dowodzi wygaśnięcia w sercu wszelkich niemal uczuć ludzkich, i postępowanie tych ludzi możnaby chyba przyrównać do czynności złodziejów nocnych, którzy groby obdzierają.

Na przeszłej maskaradzie znalazło się z półtora tuzina lubowników tej zabawy. Tłum ten bawił się do brze, a mianowicie wygodnie, bo przestrono mu było. Zauważyliśmy że baliki, które z godną lepszego losu wytrwałością rozlepiają swoje czerwone afisze, przemieniły nazwę *przyjacielskich* na *towarzyskie*. Ukryta w tęg myśl głęboka, dowodzi to bowiem że ci którzy na te baliki uczęszczają, nie czynią już tego dla przyjaźni, ale dla towarzystwa.

ODRZWI KAMIENNE W BIBLIOTECE JAGIELLOŃSKIEGO UNIwersYTETU W KRAKOWIE.

Odrzwi których wyobrażenie, według fotografii pana Beyera, dajemy, znajdują się obecnie u wejścia do wielkiej sali Biblioteki jagiellońskiej, od strony pokoju zajmowanego niegdyś przez ś. p. Józefa Muczkowskiego. Wykute nader starannie i ozdobnie z kamienia w stylu odrodzenia, pochodzą zapewne z drugiej połowy XVI wieku, lecz nie od dawna w dzisiejszym miejscu się znajdują, gdzie też, jako w budowli na wskroś gotyckiej, cokolwiek dziwnie się wydają. Pierwotnie prowadziły one do jednej z sal ratusza krakowskiego, a dopiero gdy tenże za czasów wolnego miasta, z nieprzebaczonem lekceważeniem ojczystych pamiątek, przez senat na zburzenie skazany został, do gmachu uniwersyteckiego przeniesione zostały. Po ratuszu zaś, którego największą wadą było to podobno, że zasłaniał widok pewnym kamienicom, pozostała tylko wyniosła wieża na rynku i kilka tu i owdzie rozproszonych pamiątek.

WIELUŃ.

O dziesięć mil od Kalisza, ośm od Częstochowy, a dwie od granicy pruskiej, leży miasto Wieluń w żyznej dolinie, obfitującej w źródła, na pokładach kamienia wapiennego. Miasto Wieluń, niegdyś główne dawnej ziemi rudzkiej, później wieluńską nazwanej, do najdawniejszych miast w Polsce policzyć można. Ziemia wieluńska, wraz z kasztelanją i starostwem grodzkiem, należała do województwa sieradzkiego, z zachowaniem osobnych urzędników grodzkich i sądowych. Nazwa miasta ginie w odległej przeszłości. Jedni wywodzą ją od wielu źródeł tu wytryskujących, co nawet miało być powodem iż zamek tu założono i stolica ziemi ze wsi Rudy o pół mili położonej przeniesioną została; inni stawiają podanie ludu, jakoby Władysław Odonicz, nazwany Piwaczem, syn Mieczysława Starego, polując po raz pierwszy w tutejszych kniejach, r. 1217 ubił wielkiego jelenia, a zarazem ujrzał na czystym niebie kielich, nad nim baranka z chorągiewką i krzyżem, a nad wszystkim hostyą. Ze zaś to działo się w dzień Najświętszej Panny, polecił w tęg miejscu wystawić kaplicę pod Jej wezwaniem, na przebłaganie niejako za lekkomyślność, iż w tak uroczyste święto oddawał się plochej rozrywce. Ztąd ma pochodzić herb wieluńskiej ziemi: *Baranek z chorągiewką i krzyżem*. Rogi ubitego jelenia najprzód przybił w kucni książęcej, przechodziły różne koleje, aż nareszcie umieszczono je na jednym z narożnych domów w rynku, gdzie dotąd się znajdują, pierwiastkową zaś nazwę miasta, *Jeleni*, zmieniono następnie na *Jeluni*, aż zostało *Wieluń*. Do dziś dnia nawet chłopstwo z okolicy, powracając z targu, mówi iż było w Jeluniu. Cóżkolwiek bądź, pewniejsza epoka historii Wielunia poczyna się dopiero od Władysława Łokietka, któremu po wygaśnięciu udzielnej linii książąt wielkopolskich ziemia to wraz z miastem się dostała i weszła do Korony. Syn jego, Kazimir Wielki, między rokiem 1350 a 1351 wzniósł tu obronny zamek i miasto murem otoczył, dla zabezpieczenia go od Czechów i pogranicznych książąt szląskich. Na mocy testamentu tego króla, Wieluń z innymi poblizkimi zamkami oddany był w lenność Władysławowi księciu opolskiemu, za którego zarząd istniała tu mennica, a w niej bito małe srebrne pieniążki, z napisem *Moneta Welunie*, jak tego dowodzą świeże odkrycia naszych badaczy numizmatyków. W r. 1395 Władysław Jagiełło ostatecznie Wieluń do Korony przyłączył. Tenże sam monarcha fundował tu, oprócz kościoła księży augustyanów, istniejącego już dawniej, a wystawionego w roku 1217 przez Władysława Odonicza, kościół z klasztorem ks. paulinów. Mikołaj zaś arcybiskup gnieźnieński do starożytnego kościoła farnego sprowadził w r. 1420 ze wsi Rudy kollegiatę, kanoników i prałatów w gronie swém liczącą. W zamku Wielunia r. 1424, w piątą niedzielę postu (judica) wydany został przez Jagiełłę pamiętny ów edykt stanowiący ciężkie kary na różnowierców, a to

dla zabezpieczenia Polski od wpływu Hussytów. Miasto Wieluń, obdarzone wielu przywilejami, jeszcze hojniej uposażył Zygmunt August roku 1557 na sejmie warszawskim, oddając mu dziedzictwem na wieczne czasy wójtowstwo wieluńskie (*Advocatum Vielunensem*) ze wszystkimi dochodami, i ustanowił jarmarki, na które się wielu kupców, nawet zagranicznych, zjeżdżało; bo Wieluń, jako miasto składowe, miało szczególny przywilej na wina i kamienie młyńskie, a nadto sływał fabrykami doskonałych sukien, rzadkiej dobroci jak na owe czasy. W r. 1684 założony był klasztor pijarów przez Bolzkowskich i Niemojewskich, który gdy zgorzał w d. 3 września 1795 r., staraniem ks. Bogusława Psarskiego pijara odnowiony i freskami przez Roberta Stankiewicza wewnątrz ozdobiony został (r. 1804). Są jeszcze w Wieluniu bardzo porządne kościoły oo. reformatów i panien bernardynek, oba na przedmieściach.

Gościł tu w r. 1598 przez cały tydzień Maksymilian, arcyksiążę rakuski, pretendent do korony polskiej, aż gdy Stadnicki z przednią strażą Polaków zażądał pomienione miasto siłą oręża, Maksymilian ruszył pod Byczynę, gdzie przez Jana Zamojskiego wzięty został w niewolę. Pierwszy cios na drodze swęj pomysłności odebrał Wieluń w czasie pierwszej wojny szwedzkiej r. 1656. Załoga bowiem polska z Ostrzeszowa, pod wodzą Jerzego Lubomirskiego, napadłszy Szwedów stojących tu garnizonem, zabiła ich, a gdy reszta, schroniwszy się do zamku, poddać się nie chciała, Polacy zamek podpaliłi i Szwedów w pień wycięli.

Ostatni cios Wieluniowi zadał pożar przed dwoma laty, który zniszczył prawie do szczytu miasto i jego kościoły, dziś znowu odbudowywane.

Zamek wieluński rozebrany został pod rządem pruskim. Stał on na niewielkim, umyślnie wysypanym wzgórku, otoczony kanałem, który zasilał obficie źródła sączące się pod samym zamkiem. Stawiany był z wapiennego kamienia, jak większa część budowli wieluńskich. W r. 1821 stały jeszcze w całości jego piwnice, mury zaś wierzchnie porozwalano. W kilka lat później zbudowana została na tęg miejscu fabryka sukna, po której pogorzeniu został sprzedany. Nowy nabywca wyrestaurował go należycie, powiększył i przyozdobił, i teraz budynek ten, bez zaprzeczenia najcelniejszy w Wieluniu, mieści w sobie władze powiatowe i okręgowe.

Z murów miasto opasujących, a przez króla Kazimierza W. wzniesionych, znaczne jeszcze, pomimo pogorzeli, pozostały ślady. Wzmocnione one były pięcią basztami i zamknięte trzema bramami, t. j. krakowską, gaszyńską i dąbrowską, do których później dodano reformacką. Brama krakowska najwspaniałej była zbudowaną. Wznosiła się nad nią wysoka wieża, do dziś dnia jeszcze dochowana w całości. Wieża ta, czworograniasta od dołu, a od góry osmioboczna, płaską kopułą zakończona, zbudowaną była z cegły czerwonej na wapno bez tynku. Przy nowem urządzeniu miasta, oddzielono ją od muru, otynkowano i przybudowano do niej ratusz tak, jak niniejszy drzeworyt przedstawia. Szkoda że przy trafnym pomysle zachowania tęg starożytnej pamiątki, zamurowano samo wejście bramowe, dając w jego miejsce drzwi zbyt małe i całości budynku nieodpowiednie.

Bramy gaszyńska i dąbrowska żadnych nie miały wyniesień i już nie z cegły, ale z kamienia miejscowego wapiennego były stawiane. Reformacka, w czasie późniejszym wybudowana, służyła tylko do przejazdu, ale jak się zdaje żadnego nie miała zamknięcia.

Z pięciu baszt mury miasta Wielunia wzmacniających, jedna półokrągła stała tuż przy krakowskiej bramie; w niej urządzony był magazyn prochu i dlatego zwano ją prochownią. Stała ona jeszcze w całości, lubo jej dawny związek z bramą i dalszą częścią muru jest teraz rozerwany.

Idąc od krakowskiej bramy ku reformackiej, o kilkadziesiąt zaledwie kroków od prochowni, stała druga baszta, podobnie półokrągła, ale obszerniejsza od innych. W niej mieściły się tortury, przez miejskie sądy, na mocy prawa magdeburgskiego, przy badaniu obwinionych używane, i z tego powodu nazywano tę basztę *męczarnią*.

Na połączeniu wschodniej i północnej części muru miejskiego, stała trzecia baszta od murów wyższa, w osmiobok zbudowana. Opisane trzy baszty wystawione były z kamienia i wapnem obrzucone. Czwarta baszta półokrągła, zajmowała środek muru pomiędzy bramą reformacką a dąbrowską; piąta zaś takiego samego kształtu stała między dąbrowską a gaszyńską. Obiedwie zbudowane były z cegły bez tynku.

Zdaje się, że idąc wzdłuż murów w drugą stronę, to jest pomiędzy bramą krakowską a gaszyńską, także przynajmniej jedna na środku musiała być baszta; lecz ta część muru, stanowiąca zarazem zewnętrzne zamku opasanie, dawno już nie istnieje.

KOMMUNIKACJE, PRZEMYSŁ I HANDEL.

Mimo interesu bieżącej chwili, zajmującej tak żywo uwagę ogółu, nie można utrzymywać aby domowe nasze sprawy, dotyczące ekonomicznych stosunków kraju, spoczywały w zapomnieniu. Przeciwnie, śmiało możemy powiedzieć, że nigdy u nas na polu teorii i bezpośredniego zastosowania w praktyce nie spotkaliśmy tylu prac, tylu dzielnych usiłowań gorąco głosem powszechnym popartych, jak obecnie. Mianowicie kwestya kredytu stoi, że się tak wyrazimy, na porządku dziennym i u nas, i w ościennych prowincjach. Dowodem tego nietylko powstawanie naszych domów zleceń, ale silnie agitująca się sprawa dawnego ziemstwa w Poznańskim, nowo powstające towarzystwo kredytowe ziemskie kijowsko-wołyńsko-podolskie i nakoniec usiłowania Litwy i Galicyi w urządzeniu banków rolniczych. Naturalnie tyle ważnych kwestyj, poruszonych w praktyce tak silnie obchodzącej ogólne interesa kraju, nie mogło przejść bez dyskusyi publicznej, do której szermierze rozmaitych obozów społecznych i przekonań wystąpili najprzód w pismach czasowych, a obecnie w oddzielnych broszurach, dość licznie ukazujących się na zmartwiałym horyzoncie naszego wydawnictwa (*). Nie tu jest miejsce rozbiór tych prac, często nader ważnych i odznaczających się wyższą myślą; wspominając o nich, pragniemy tylko zanotować spostrzeżenie, iż wszystkie, mimo różnicy dążeń i punktu wyjścia, zgadzają się na dwie główne zasady: przeprowadzenia organizacji kredytu przez spółki prywatne, powstałe z własnych sił i niegwarantowane żadnymi przywilejami wyłączności, tudzież powołania drobnych kapitałów, dziś spoczywających bezprodukcyjnie, do ruchu, a z drugiej strony zaoszczędzenia kapitału obiegowego. Nie potrzebujemy zdaje się dowodzić, iż szczęśliwe zamienienie w czyn pierwszej z powyżej wyrażonych zasad, warunkuje się pomyslnym przeprowadzeniem drugiej; wszelkie bowiem spółki, czy to mające na celu obroty finansowe, czyli też przemysł albo handel, rozwijają się najdzielniej udziałem drobnych kapitałów, których ilość tworzy potężną ogólną masę.

Czy u nas znajdują się drobne kapitały w dostatecznej ilości, jest to pytanie na które nadzwyczaj trudno odpowiedzieć, nie mamy bowiem żadnej zasady do oceny wysokości cyfry; a jeżeli z jednej strony dobry kurs listów zastawnych i wielka ilość takowych znajdująca się w kraju (około połowy całej summy) dowodzą znacznych kapitałów spoczywających w tym papierze, to znów niska wartość ziemi, wysokość stopy procentu i inne względy za przeciwnym twierdzeniem przemawiają. Bądź co bądź, prawdopodobnie możemy powiedzieć, iż kapitałów drobnych, jak na pierwsze początki, byłoby dosyć, w następstwie zaś liczyć należy na zwiększony obieg przez pośrednictwo spółek, na pracę indywidualną i na oszczędność rodzinną, które są źródłem wszelkiego bogactwa materialnego i zdrowia moralnego.

(*) W liczbie tych broszur świeżo wydanych zasługują na uwagę prace p. Piotra Falkenhagen-Zaleskiego: *O instytucjach kredytowych i o domach zleceń rolników*; Zielińskiego: *O instytucjach kredytowych w zastosowaniu do rolnictwa*; Wielogłowski: *O potrzebie zakładania banków rolniczych w Galicyi i kilka innych*.

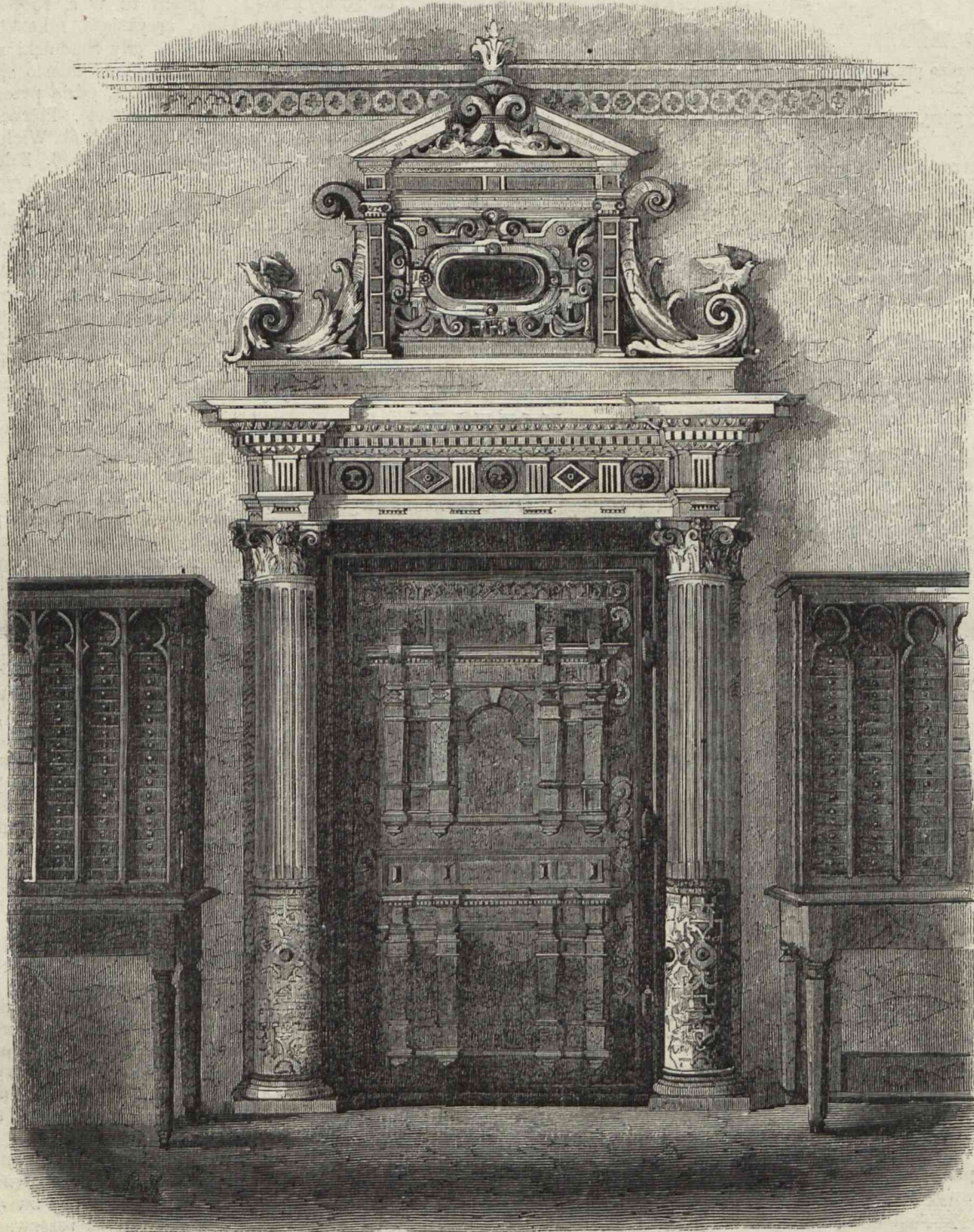
Niemalém więc zadaniem, płodnym w następstwa, a ciężącym nietylko na powstających instytucjach kredytowych, lecz i na ogół, jest powołanie do ruchu tych drobnych kapitałów, ułatwienie im obiegu, spódogowanie gotówki przez dobrze zrozumianą oszczędność cyrkulacji, w skutku zaś ostatecznym powiększenie ogólnej produkcyi i korzystne spożyczenie sił krajowych. Ślady dążenia ku temu celowi widzimy już w powstałych domach zleceń rolników, tak bowiem rozumieć należy uchwałę ogólnego zgromadzenia ziemian płockich, przeznaczającą rodzaj dywidendy dla kapitałów mieszczonej w ich domu zleceń, na terminową lokacyę. Dobry ten przykład w swoim czasie nie wątpimy iż będzie naśladowany przez inne domy; tym bowiem sposobem kapitał obrotowy podobnych instytucyj zwiększyć się może bardzo znacznie, a same kapitały drobne, otrzymując procent wraz z dy-

rzyszenia, jesteśmy przekonani, iż w pewnych przedsięwzięciach praca pojedynczych właścicieli drobnych kapitałów, zachęcanych własnym interesem, stałaby się niemniej pożyteczną dla ogółu, gdyby przyszło jej w pomoc materialne poparcie. Tym sposobem wiele kapitałów drobnych, dziś spoczywających bezczynnie, czy to z braku śmiałości, czy też z niedostatecznej wysokości summy do puszczenia jej w obieg na rozleglejsze przedsięwzięcia, znalazłoby ruch i poparcie. Przykład lepiej objaśni czego właściwie pragniemy w tym względzie. Wiadomo ilu niedogodnościom i zarzutom ulega sposób zaopatrywania Warszawy w najpięrsze potrzeby życia. Chleb i mięso, mimo troskliwej opieki i systemu taksowego, częstokroć w gatunku nie odpowiadają słusznym żądaniom konsumentów. Polepszenia w tym tak ważnym nawet dla zdrowia publicznego względzie, spodziewać się można tylko od dobrze

zrozumianej konkurencyi prywatnej, której prawo zostawiło otwarte pole działania. W kwestyi tej wznosiły się głosy doradzające utworzenie towarzystwa, któreby na wielką skalę podejmowało się nietylko wypieku chleba i handlu wołami, ale i cząstkowej sprzedaży tych produktów. Otóż sądzymy iż ta ostatnia czynność, przez prywatne i pojedyncze osoby wykonywana, daleko lepsze wyda rezultaty... trzeba tylko uczciwym posiadaczom drobnych kapitałów dać możność wystąpienia do konkurencyi z obrazowaniem tym sposobem interesami przeciwników. Skutek jest tu niewątpliwy, widzieliśmy bowiem naocznie próby uwieńczone najpomyślniejszym wypadkiem, że wspomnim tylko owę czasową jatkę, sprzedającą o 2 gr. tanięj funt mięsa od praktykowanej wtedy ceny. Właściciel jej, obywatel z Wołynia, przyprowadziwszy partya wołów na targ pragski i nie mogąc ich zbyć korzystnie, wpadł na myśl bicia wołów na własny rachunek i sprzedawania mięsa w najtętej czasowo jatce. Po wybiciu wołów jatka została, z wielkim żalem okolicznych gospodyń warszawskich, zwinięta, a właściciel zapewnił nas, iż po opłaceniu wszelkich wydatków i należności, mimo znacznych kosztów na utrzymanie wołów w Warszawie i sprzedawania funta o 2 grosze tanięj, na każdej sztuce zyskał 42 rs. więcej, aniżeli gdyby sprzedał woły od ręki. Podobne szanse ma przed sobą nowo tworząca się spółka wypieku chleba przy młynie deptakowym na ulicy Waleców; życzyć tylko należy aby sprzedaż cząstkowa powierzona została osobom prywatnym, mającym chęć

zajęcia się podobnym handlem i posiadającym własny, choćby niewielki, kapitałik.

W obu powyższych przykładach dla sprzedawcy cząstkowych potrzebna była dobrze zrozumiana pomoc, mianowicie w chwili przetrzymywania konkurencyi przeciwników interesowanych. Pomoc ta zależałaby na otwarciu kredytu; wprawdzie i dziś istnieje podobny kredyt dawany przez kupców hurtowych lub większych kapitalistów drobniejszym kramarzom albo przekupniom, lecz na jakichże udzielany bywa warunkach?? Znany jest Warszawie kapitalista, który wy pożyczając straganiarkom i straganiarzom drobne kwoty na zakupienie potrzebnych do prowadzenia procederu materialów, brał tygodniowo od złotego trzy grosze i tym sposobem dorobił się kolosalnej fortuny. Podobny stosunek rozciąga się i do innych gałęzi drobnych pożyczek, zabiera więc wszelkie godziwe zy-



ODRZWI KAMIENNE W BIBLIOTECE JAGIELLOŃSKIEGO UNIwersYTETU W KRAKOWIE.

Rysował Podbielski podług fotografii Beyera.

widendą wyższy nad pięć, pośpieszą ku temu celowi korzystnej lokacyi. Wprawdzie w krajach bogatych i gdzie zaufanie publiczne więcej jest rozwinięte, jak np. w Anglii i Szkocyi, banki przyjmują kapitały na lokacyę procentową niższą aniżeli stopa summy wypożyczanych przez bank (zysk z różnicy pozostały jest główną korzyścią instytucyi); u nas jednak dla zachęty z jednej strony, a ułatwienia interesów z drugiej, przyjęty przez dom płocki systemat może wydać dobre skutki i utrzymać się do czasu.

Nie można sądzić ani nawet spodziewać się i życzyć nie należy, aby domy zleceń zagarnęły wszystkie dziś bezprodukcyjnie spoczywające drobne kapitały, które mogą być użyteczne i w innych interesach i gałęziach narodowego bogactwa, jakich rozwój równoczesny nadać musi prawdziwą siłę pomyslności ogólnej. Nawet mimo znakomych skutków jakie wydają stowa-

ski kramarza lub przekupnia. Otóż ochronienie tak znaczniejszych jak i drobniejszych kupców i kramarzy od tego nacisku kapitalistów, ważne powinno wydać owoce. W jaki zaś sposób mogłoby to przyjść do skutku, wskazuje nam ustawa świeżo założonego towarzystwa komisowego handlu wełną na Ukrainie. Spółka podobna, mówiąc nawiasem, byłaby i dla naszych producentów wełny i fabrykantów sukna bardzo pożyteczną, dlatego też kilka słów o niej nie będzie rzeczą zbyteczną.

Towarzystwo na akcyje z kapitałem 600,000 rs., bierze sobie za cel pośredniczyć między właścicielami owczarni, fabrykantami sukna, a nawet kupcami wełny, przychodząc bezstronnie w pomoc wszystkim osobom z handlem tym związek mającym. Kompanii nie wolno kupować wełny na swój rachunek, lecz dozwala się jej brać produkt w komis, udzielając zaliczkę właścicielowi. Zarząd więc spółki ma prawo właścicielowi owczarni udzielić pożyczkę 70 do 80 procent od bieżącej ceny targowej na złożoną do składów spółki wełnę, co niemała jest rzeczą w czasie niskich cen lub braku ochoty w nabyciu tego produktu. Lecz przy *wyłączeniu* zaliczek dla samych tylko obywateli, handelby się dostatecznie nie ożywił, co wcale nie jest interesem towarzystwa; dlatego też daje ono pożyczki na kupno wełny fabrykantom sukna a nawet i samym kupcom. Wiadomo bowiem iż fabrykanci niezawsze posiadają odpowiednie kapitały, aby we właściwym czasie i z pierwszej ręki mogli nabywać wełnę, muszą więc albo pożyczać kapitał na wysoki procent, albo odkupywać wełnę w następstwie czasu z trzeciej lub czwartej ręki, co niemała dla nich jest stratą. Otóż towarzystwo, dając fabrykantowi pożyczkę na wełnę, dozwala mu zakupić jej za daleko znaczniejszą sumę, oddać ją pod dozór spółki, a następnie wykupywać częściowo, w miarę potrzeby. Taką samą pomoc otrzymuje kupiec handlujący wełną, co dozwala mu robić daleko znaczniejsze obroty; jeżeli bowiem kupiec posiada 45,000 rs. własnego kapitału, dostając zaliczkę 60 procent targowej wartości wełny, może nabyć tego produktu za 25,000 rs., wykupując ją później w miarę odbytu. Tym sposobem i właściciele drobniejszych kapitałów są przypuszczeni do obrotów handlowych, a obroty wełny stają się tak łatwe i szybkie, że przytęm korzysta ziemianin, fabrykant, kupiec i towarzystwo.

Układ podobny, rozciągnięty do innych towarów, objaśnia myśl naszą, a mamy wiadomość iż w celu urzeczywistnienia podobnego projektu czynione są usiłowania w naszym mieście przez osoby zamożne i znające potrzeby kraju. Niedaleką jest od podobnej myśli filia Banku polskiego, założona w Łodzi w celu przyjsia w pomoc tamtejszym fabrykom. Żałować tyl-

ko należy iż różne poboczne względy i wpływy tamują rozwijanie się tej filii, której dobre interesa zachęciłyby może Bank do tworzenia podobnych w innych punktach kraju. Fabrykanci głównie skarżą się na wysokość procentu pożyczek krótkoterminowych, ten bowiem, łącznie z komisowem, taksowem, wagowem, składowem i assekuracją, wynosi za jeden miesiąc 17 procent, na termin dwumiesięczny 14 procent i zmniejszając się stopniowo, czyni na rok 6 procent, co stanowi połowę zwykłego procentu kupieckiego. Spodziewamy się że spory te wyjaśni i pogodzi wysłana przez Bank komisya, której przewodniczy urzędnik znany ze swych zdolności.

Nie wątpimy iż zasady kredytu *in blanco*, ostrożnie, z wielkim taktem i znajomością rzeczy zastosowane,

wo czynność przekazów, które najdzielniej zaoszczędzają obieg gotówki. — Mamy nadzieję że i Domy zleceń, rozwijając się, pójda w kierunku tej zasady.

Do kroniczki naszego przemysłu, handlu i komunikacyj, dorzucić możemy kilka fakiików i pogłosek. a między niemi pierwsze miejsce zajmuje zamiar usławnienia rzeki Tyśmienicy, wpadającej do Wieprza. Rzeczka ta poczyna się z wielkich błot wsi Rozkopaczewa w okręgu lubartowskim, przepływa powiat radzyński pod miastem Ostrowem i pod Babianką tworzy staw Sienień, dziewięć wiorst długi, rozgraniczający powiat radzyński od lubelskiego. Od tego punktu, idąc granicami powiatów pod miastem Kockiem, jest spławna dla tratw w długości 3 i pół mi. Otóż tę część ostatnią obywatele posiadający dobra położone ponad brzegami, pragną połączonymi siłami uzdolnić do żeglugi dla statków; w tym celu wygotowany projekt przedstawiony już został do rozpoznania.

Zapał do stawiania młynów parowych nie zmniejszył się jeszcze, słyszeliśmy bowiem, iż zawiązać się mająca na ogromny rozmiar spółka obywatelska, pragnie nabyć jeden z pierwszych tego rodzaju zakładów w kraju. Gdy ten projekt wejdzie na pewniejszą drogę, szérzej o nim pomówić nie omieszkamy, — młynarstwo bowiem stać się może dla naszego kraju bardzo ważną gałęzią przemysłu.

SAMUEL
MACIEJOWSKI,
BISKUP KRAKOWSKI,
KANCLERZ W. KORONNY.

(Dokończenie.)

Morowa zaraza rozpedzała sejmujących z roku 1547 w różne strony. Król, wyjechawszy z Krakowa, błakał się po wsiach i miasteczkach z dwoma pieczętarami koronnymi, Maciejowskim i Grabią, oraz z wojewodą sandomierskim Tęczyńskim; dworskich oddalił od siebie, wojsko odesłał na Ruś (Niemcewicz, Zbiór Pamiętników, IV strona 57—8). Więcej jednakże tą zarazą straszyla dwór Bona jak było warto; miała w tém swoje wido-

ki, wozila króla, bawiła go tańcami i pieśniami, żeby starcowi życie jako przedłużyć, a tymczasem myślała pokryjomie skarby swoje wywozić z Krakowa gdzie w bezpieczniejsze miejsce. Obawiała się najwięcej biskupa i kasztelana krakowskich, to jest Maciejowskiego i pana z Tarnowa, wielkiego zwycięzcy z pod Obertyna, którzy byli zawsze razem ze sobą, czy przeciw Bonie, czy za królewiczem; spólność widoków i jedno serce dla ojczyzny, mocno tych panów powiazało. Królowa podobno ciągle zamyslała o ucieczce za granicę; innych panów mogła kupić, ale nie Maciejowskiego i Tarnowskiego, którzy nie słuchali nigdy żadnych poduszczeń i prośb syreny. Kasztelan i biskup, zawsze razem, zawsze z sobą, ostatnie chwile starego króla uprzyjemniali na ziemi. Dawali mu otuchę, że i później królewicza wesprą światłem swoim i zacnością.



RATUSZ W WIELUNIU. (Rysował z natury Dębicki).

wydałyby dobre rezultaty, pożyczka bowiem zastawowa, przy krótkich terminach i wysokich opłatach składowego, wagowego i t. p. wypada za drogo. Dlatego też wyżej przez nas wspomniona kompania komisowa dla ułatwienia obrotów wełną, liczy najkrótszy termin pożyczek 9-miesięczny po pół procent na miesiąc.

Cokolwiekby, filie bankowe wielkie oddać mogą handlowi i przemysłowi przysługi, mianowicie przez oszczędzenie obiegu, który to przedmiot wyczerpująco i z wielką trafnością ocenił pan Falkenhagen-Zaleski w ważnej swój broszurce, o której wspomnieliśmy w początku tego artykułu (O instytucjach kredytowych w kraju naszym); w drugiej swój pracy o Domach zleceń projektuje on bardzo słusznie, aby spółki te komandytowe przyjęły na siebie choć czaso-

W istocie stało się tak jak myślał Zygmunt Stary. Kiedy król zawarł powieki, biskup był przy jegoskoniowaniu z królową Boną i z królewiczami, a potem nie odstępował ani na krok od ciała swojego dobroczyńcy. Wieczorem zaraz tegoż samego dnia, wśród łez rzewnych i łkania, zgromadził całą kapitułę swoją, sufragana, kanoników, wikarych i drugih księży, ciało wszyscy napuścili balsamami i przybrali. Nazajutrz biskup z pany radnymi w trumnę je włożyli i ustawili na łożu przybranem w aksamit czarny, wśród tysiąca lamp i świec; kapłani wciąż śpiewali i msze św. odprawiali przy ciele (Niemcewicz, Zbiór Pamiątek o dawniej Polsce, wydanie lipskie, t. 4 str. 62). Pierwszy także młodemu panu dał znać Maciejowski do Wilna przez ks. Przerębskiego o śmierci ojca. Wiedział już wtenczas biskup o małżeństwie Zygmunta Augusta z Radziwiłłówną; bo król młody, będąc ostatnim razem w Krakowie, zwierzył się ze swoją tajemnicą tylko biskupowi i Tarnowskiemu. Obadwaj panowie, przewidując burzę, obiecywali swoją pomoc królowi i z radością go teraz już jako pana swego wołali, ażeby na pogrzeb ojca coprędzej do Krakowa przyjeżdżał. Poprzednio już, żeby usposobić szlachtę dla króla, jeździł biskup na sejmik do Proszowic (Ambr. Grabowski, Ojczyste Spominki, t. 2 str. 79). Na pogrzebie króla miał Maciejowski sławną mowę, którą mu jednak napisał Hozyusz. Senatorowi wielkiemu zabrakło czasu do układania pochwały zmarłemu królowi, więc się wyrecał przyjacielem; ale Maciejowski mówił tak serdecznie, powtarzał cudze słowa tak tkliwie, że wszystkich panów rozrzewnił (26 sierpnia 1448).

Na sejmie piotrkowskim stanął Maciejowski znowu przy królu. Dowody jego silne są i przekonywujące. „Ukazował, powiada o nim Górnicki, (a było to już po sławnej mowie Boratyńskiego) że na tém ożenieniu nie tak należy wiele, gdy król w inszych rzeczach będzie dosyć czynił swojej powinności, dokładając że to nie nowina jest pojąć poddaną swoją. Wielcy to monarchowie czynili, i króla pana zmarłego ożenienie pierwsze nie w księżym, nie w królewskim domu było, ale w szlacheckim... Nie żona zdobi męża, ale mąż żonę; do tego jeszcze dom panów Radziwiłłów książęcy jest... Ale by też i księżną nie była, tedy mając w sobie te przymioty, które tu panowie posłowie wyliczali, godna dobrze jest łoża królewskiego i korony na głowę włożenia. Nadto, ani się to królowi godzi łamać przysięgę żonie, ani nam żeby go do tego wieść, ani ścierać gniew Boży na tę Koronę mieli; gdyż dla przestępstwa królów zwykły Pan Bóg poddane znacznie karać. Nie wymówiłby się Bogu pan nasz tém, że mu żona nierówna stanem: nie masz u Pana Boga braku w ludziach, i sam nie w pańskim, ale w ubogim domu chciał się urodzić. Na cnotę Pan Bóg patrzy, a od złego człowieka, chociaż najzaciejszego, i ofiary nie chce i tego żeby mu kościoły budował. I cóż to jest że króla chcemy mieć gorszej kondycyji niżemy sami? Sługą-by to był naszym królem, nie panem, by nie miał nic innego uczynić, jedno to co my każemy. Co ktemu jeszcze między złym a dobrym cieniuchna bardzo jest ściana, może ją nazwać subtelną bardzo linią, i tę linią kto przestąpi, tak mu ją przestąpić na stopę, jako na miłę. Gdzieby tedy pan nasz krzywoprzysięcą być począł, od odrzucenia i wzgardzony, nie stanęłoby jego krzywoprzysięstwo na tej jednej rzeczy, poszłoby dalej. Wszak i wstydu kto nie szanuje w małżonki rzeczy, barzo mu łatwo przyjść w wielkich rzeczach do sprośnej niewstydlivosti. Przeto nie przystoi tak barzo brać przed się tego ożenienia króla pana naszego, a znać była obietnica, wola Boża, przeciwko której rozumy nasze, starania nasze, by się najbardziej siliły, zostaną nazad.“

Król, poparty przez tę silną wymowę, odezwał się wtedy ze swemi sławnymi słowami: „Co się stało, odstać się nie może, a wam przystało nie o to się prosić, iżbych żonie wiarę zламаł, ale żebych ją każdemu dochował i t. d.“ Kto z nas na pamięć nie zna tych pięknych słów Zygmunta Augusta?

Panowie sejm rwali, usuwali się od króla, nie chcieli dozwolnić mu sprawowania sądów, to jest innymi słowami nie pozwalali pełnić panu powinności królewskich i zawieszali go tém samem w dostojnym urzędowaniu. Posłowie nawet z tém nagłym żądaniem, ażeby sądów zaniechał, przychodzili do majestatu. Ale kanclerz i tutaj silnie stanął przy królu, jako mąż władzy i rządu, który nie pozwalał swawoli i prywatnie, by się zbyt rozbijały, ze szkodą rzeczy publicznej. Maciejowski odpowiedział posłom od tronu, że król zna swoje powinności i że chce im zadosyć uczynić, a prośbie panów posłów w tej mierze dogodzić nie może. Rozjechali się wszyscy niezadowo-

leni, król zaś został w Piotrkowie i osądziwszy kilka spraw z temi senatorami, co przy nim byli, uniwersały po Koronie rozesłał ze skargą na posłów ziemskich, że sejm rozerwali, i wyjechał do Krakowa.

Maciejowski jechał z królem do stolicy. A jak niedawno senator powściągał swawolę sejmowej szlachty, tak teraz przyszło jemu biskupowi powściągać swawolę duchowieństwa. Ożenił się w dycyzi krakowskiej Walenty proboszcz krzeczonowski, czém bardzo zgorzył ludzi chciwych nowinek. Kazał dać mu rok Maciejowski przed swoje sądy duchowne. Stanął ksiądz i z nim niemały orszak ludzi zacnych, to jest szlachty, zamożnej i znaczącej w województwie; na czele ich znajdował się Mikołaj Oleśnicki, a obok niego nasz pierwszy piśmiennik, Mikołaj Rej z Nagłowic. Orzechowski, który już wtenczas zadzierać począł z władzą, stanął także w obronie ks. Walentego, podał do sądu spisana przez siebie rzecz dosyć uczoną, ale nastrzępioną bardzo erudycją i łacińskimi słowy. Było przy sądzie słów z obu stron wiele, jednak Maciejowski nie odstąpił od swojego przekonania; z drugiej strony uważał, że to rzecz wielka, że skarciłby ją należało, ale to nie tak łatwo będzie wykonać prawo kościelne w Polsce, gdy szlachta bardzo była burzliwa i jeszcze najczęściej powtarzała, że nie jest uporna, że chce się nauczyć prawdy i zaręczała że według nauki sprawować się będzie. Biskup tedy nie chciał drażnić namiętności: księdza wolnym nie uczynił, ani go też zachował, a rzecz odłożył na czas dalszy.

Szlachta postanowiła pomścić się na biskupie za sprawę piotrkowską i za sprawę ks. Walentego. Zadzierała z królem, a biskup go zawsze bronił; chciała swawoli, a biskup ją utrzymywał w korbach powinności; Ignęła do nowości w wierze, a Maciejowski hamował jej popędy. Szlachta możeby wołała, żeby ją biskup podrażnił. Stanęły naprzeciw siebie ostro dwie zasady: nieład i rząd, namiętności i rozum. Długo jednak nie było sejmu, bo król go nie zwoływał, oburzony sprawą piotrkowską, i ztąd nie mogła szlachta wytoczyć żadnej sprawy biskupowi. Wreszcie hetman Jan z Tarnowa namówił króla, że zwołał sejm na cztery niedziele po Wielkiej nocy do Piotrkowa. Szlachta tedy gwałtem domagać się zaczęła egzekucyji nad tymi, którzy co przeciw prawu dzierżyli. Były to zamówki tylko, żeby nie uderzać prosto i nie zdradzić się z niechęcią długą tajoną, bo Górnicki świadczy, że „największy szturm był na ks. Maciejowskiego, iż biskupstwo krakowskie z pieczęcią dzierżył.“ Lubo prawo tego nie pozwalało, jak powiedzieliśmy, przeciw kilka było od niego wyjątków; dawniej, przed Samuelem, Tomicki i Chojeński, po Samuelu zaś Przerębski arcybiskup i Padniewski jakiś czas pieczęć razem z biskupstwem krakowskim trzymali. Nie raziło to więc tak dalece. Ale tym razem na biskupa wiele złości uderzyło, bo i królowa Bona, która nie była na niego bardzo łaskawą o Barbarę, umyślnie przyjechała do Gomolina pod Piotrkowem, i przez ten cały sejm w bliskości mieszkała, tak dalece, że niektórzy senatorowie, co jej wierni byli, mogli się do niej często z Piotrkowa do Gomolina przejeżdżać, po jednej a przed drugą sessją sejmową. Ks. Maciejowski nie rad był bardzo tym zamachom. Dał się nawet z tém raz słyszeć, że gotów jest biskupstwo krakowskie opuścić, a wrócić na jakie insze, byle zostać przy pieczęci. Nie robił tego oczywiście przez żadną chciwość, bo co mu zastąpić mogło dochody biskupstwa krakowskiego i Siewierza? Ale, lubo pasterz gorliwy, więcej był zawsze Maciejowski mężem stanu, politykiem, statystą; czuł to, że przy pieczęci będzie mógł lepiej służyć Rzeczypospolitej, zwłaszcza w czasach takiego rozpasania się swawoli szlacheckiej, gdy na sejmach chciało rozstrzygać n. p. sprawy o ważności małżeństwa. Górnicki, który także był świadkiem tych rzeczy, znał na wylot i kochał biskupa, bo mu służył sercem i duszą. Górnicki świadczy, że tutaj żadne inne względy, żadne nieczyste widoki nie zachodziły. „Z nię, (to jest z pieczęci,) mówi Górnicki, mały ma pożytek (Maciejowski), czegom ja był dobrze świadomy służyć mu.“ Ale nie chcieli ocenić pobudek biskupa posłowie i domagali się usilnie, żeby Maciejowski złożył pieczęć, nie zaś biskupstwo, wiedząc, że mu tém srodze dokuca; król chciał ocalić przyjaciela i zdobył się ku temu na doskonały sposób, którego właściwością było użyć wśród takich okoliczności. Doszło do tego, że król raz publicznie na sejmie, bojąc się gorszych skutków, ile że Bona była zawsze w Gomolinie, rzekł do posłów: „Ma-li być egzekucyja, tedy musi być od deszczki do deszczki statutu koronnego.“

To się znaczyło, że król pogroził odbieraniem urzędów i starostw innym, którzy po kilka ich, wbrew prawu, piastowali. Sejm domagał się wprawdzie egzekucyji, ale na jednym tylko Maciejowskim, więc zląkł się, kiedy król rzekł: „od deszczki do deszczki.“ Uci-

chło nagle w izbach sejmowych, a nadto jeszcze czując senatorowie i posłowie, że są w rękach królewskich, prosili żeby to, co się tyczyło Barbary, „w dobre obrócić raczył.“ Skończyło się na tém, że Maciejowski został przy pieczęci, ale gdy wszelako zakawowała mniejsza po Mikołaju Grabi, dostał ją Ocieski, dotąd ochmistrz królowej Bony, człowiek mimo to zacny.

Na tymże sejmie piotrkowskim klócił się Orzechowski z biskupem swoim Dziaduskim o taką samą sprawę, o jaką przed rokiem Maciejowski dawał pozew Walentemu biskupowi z Krzeczonowa. Kanclerz wdał się w to i narzucił się na pośrednika; postąpił sobie wspaniale, tak samo jak z ks. Walentym. „Ta rzecz się gładzniej ułożyła,“ mówi o tej sprawie Górnicki, to się znaczy, że Maciejowski Dziaduskiego uspokoił, a Orzechowskiemu kazał pisać do Rzymu, żeby to jego małżeństwo było potwierdzone od stolicy apostolskiej.

Król po tym sejmie powrócił do Krakowa, dokąd przybyła do niego z Radomia, (gdzie dotąd mieszkała), królowa Barbara. Ochmistrem u niej, to jest marszałkiem dworu, był Stanisław Maciejowski, kasztelan sandomiński, brat rodzony biskupa. Tak więc cała rodzina Maciejowskich trzymała za Barbarą Radziwiłłówną.

Sam ksiądz Maciejowski rozniemógł się na tym sejmie i chory już powrócił do Krakowa. Gniewał się na ustanowienie osobnego biskupa ruskiego we Lwowie, a gdy się kilku właśnie szlachty dobijało o tę katedrę, Arseni Bałaban i Jan Łopatka Ostalowski, kanclerz serdecznie był za tém, żeby fundacyą biskupstwa zniszczyć, dlatego żeby nie budzić spółzawodnictwa dwóch obrządków. Dotąd jako kanclerz jako biskup powstawał przeciw Bałabanowi, ale już nie zrobić nie mógł, bo coraz więcej zapadał na zdrowiu. Przed samą śmiercią, 10 września, pisał do Hozyusza z Krakowa, z prośbą, aby mu przysłał kopię testamentu, bo chciał go spisać; przyczem prosił, ażeby udzielił mu kilka nowin z Rzymu (Dodatek do *Czasu* za kwiecień 1857, str. 63). W rychle potem umarł na puchlinę, 5 lub 46 października, bo obiedwie daty ma Starowski w dziele swoim, na dwóch nagrobkach, które wypisuje (Monumenta Sarmatarum str. 49 do 74). Żył lat 52, na biskupstwie spędził lat 11, z tych w Chełmie dwa, w Krakowie dziewięć. Ministrem pieczęci był nieco dłużej, bo lat dwanaście. Utrzymał się przy niej do śmierci i nieprawdą jest, co o nim powiadają tu i owdzie, że ustąpił przed śmiercią kanclerstwa. Byłby niezawodnie ustąpił, gdyby pożył nieco dłużej.

„Po śmierci ks. Maciejowskiego w kilka dni, szliśmy wszyscy służyć jego na zamek, oddawać królowi pieczęć,“ mówi Górnicki. Rzecz od tych sług uczynił ks. Przerębski, proboszcz krakowski, a teraz po śmierci Samuela obrany administratorem biskupstwa, prezydent kancelaryi koronnej. Mowę tę całą przytoczył Górnicki, słuszny to z jego strony hold oddany pamięci i zasługom znakomitego kanclerza. Przyjął król z wielkim żalem pieczęć i słowa żalności ks. Przerębskiego, a o łasce swojej wątpić żalność kanclerskiej nie kazał. Przerębski wymownie i czule mówił o Maciejowskim: „Gdyby był folgował wczasowi swemu, a nie posługom około Rzeczypospolitej, żyłby jeszcze lat wiele; ale prace, troski, kłopoty, te go na ów świat posłały... Miłsza mu była zawsze Rzeczypospolita, dobro w. k. mości, niżli jego własny żywot. Z tém sercem dokonał tego nędznego żywota, w którym się nie ożwał nigdy dla siebie, owszem się zawżdy umierać uczył, lecz tegoby był życzył sobie, iżby był mógł dłużej służyć i z nami wszystkimi przy boku w. k. mości panu naszemu.“ Pieczęć oddając, dodał Przerębski, że zmarły biskup „tak przystojnie nią szafował, iż na owym ostatnim sądzie stanie czystym a jasnym przed Panem Bogiem.“

Umarł biskup na półtora miesiąca przed koronacją królowej Barbary. Była naturalnie moc spółzawodników do wakansów po nim, ale król czekał; postanowił upamiętnić nominacyami sam dzień koronacyjny. Brat Barbary zalecał na to biskupstwo ks. Podłodowskiego referendarza, który był kanclerzem u królowej, a mieszkał w jego domu i królowa za nim prosiła. Zygmunt August już nawet obiecał biskupstwo Podłodowskiemu, ale się cofnął przed gniewem biskupów i krakowską stolicę wziął po Maciejowskim Jędrzej Zbrzydowski, biskup kujawski, a pieczęć podkanclerzy Jan Ocieski.

Na śmierć biskupa pisał greckie epigrammata Jan Lange, Szlązak, uczeń Grzegorza z Lignicy. (Wiszniewski tom VI str. 186). Julian Bartoszewicz.

owdziej rozlana, czyni ją trochę, z początku mianowicie, jednostajną; w każdym jednakże razie trudno odmówić Chęcińskiemu zręczności z jaką rzecz całą, osobliwie ku końcowi, poprowadził. Zresztą czego pod względem werwy i dowcipu osnowie niedostaje, to muzyka hojnie wynagradza melodyjnością śpiewu, szczęśliwie pomyslaną instrumentacją i obfitym snopem prawdziwie polskiej, humorystycznej werwy. Zaczynijmy od uwertury.

Widzimy zaraz, iż kompozytor odstąpił od formy w tego rodzaju utworach przyjętej, bo stresciwszy ją w jedno tempo (allegro), poszedł raczej za wzorem przez Jana Stefaniego w *Krakowiakach i Góralach* zostawionym, i wytoczył ją jak z kłębka, a tak żywo i sprawnie, że publiczność na pierwszym przedstawieniu ani się spostrzegła, jak przed jej uwagą uleciała. Dopiero po przesłanym chórze wieśniaków, przybyłych dla złożenia życzeń w dniu imienin Zuzi, oznaki ogólnego zadowolenia dobrą stały się nadal wróżbą. Żałujemy mocno, iż dla braku miejsca, nie możemy się szczegółowo rozwinąć nad każdym z kolei ustępem; a wielką ku temu mamy chętkę, bo przedmiot wart zaiste głębszego zastanowienia. Wspomnijmy tylko o ważniejszych. I tak: pieśń pana Serwacego „Nim znuzone moje oczy“ której basklarnet obligato towarzyszy, duet Stanisława z Zuzią, dumka tej ostatniej: „Jak tu ująć żal na wodze?“ smętnością swoją, stanowią kontrast z resztą numerów, w których bezywzględnie wesołość i dowcip przebijają.

Po wybornym tercecie pomiędzy p. Serwacym, Zuzią i Stanisławem, na pierwszym planie położyć należy ustęp najefektowniejszy z całej opery, recytatiwo i poloneza p. Marcina. Wiemy już jak Moniuszko pojmuje ducha tej drogiej z dawnych czasów spuścizny naszej muzykalnej; w *Halce* i *Hrabinie* na przykład, dał nam wzory godne swego talentu, godne być ozdobą i chlubą sztuki naszej; lecz ten o którym mowa, jeżeli nie ustępuje poprzednim w jedności i charakterze rytmu melodyjnego, to piękną i oryginalną in-

strumentacją o wiele je przewyższa. Cóż to za wspaniałe recytatiwo, poparte metalowemi instrumentami, kiedy pan Marcin, odchrząknawszy, składa życzenia Zuzi w tych słowach: „Z fortuny i korony!“ a naresz-

nieszki, jako myślącego i szczęśliwego w przeprowadzeniu muzycznych pomysłów kompozytora. Nie idzie tu o pochwały dla niego, bo zaprawdę spragnionym ich być nie może, ani też my ich sytać mu nie widzimy potrzeby. Lecz czujemy to dobrze, iż kilką słowami tego rodzaju prace się nie zbywają. Jeżeli autor nad nimi poważnie i długo może się zastanawiać, nim ostatecznie w skończonej, artystycznej szacie takowe uwadze - ziomków przedstawił, to sąd o nich również poważnym i właściwie wymotywowanym być powinien. Streszczając więc te pobieżne o *Verbum nobile* uwagi, główne zalety tej opery widzimy w stylu lekkim a pełnym kolorytu narodowego, w instrumentacji chociaż starannie opracowanej, lecz również lekkiej i niewymuszonej. Pod tym względem Moniuszko uczynił pewny w sposobie traktowania instrumentów postęp. Orkiestra, we wszystkich poprzednich jego operach z nadto może czynna, przeważnym swoim brzemieniem zakrywa niekiedy pojedyncze zarysy głównej melodyi. Otóż w *Verbum nobile* widzimy już znaczną w tym względzie różnicę i możemy tu nawet zanotować datę, mającą może na później stanowić drugą manierę, albo raczej drugi sposób traktowania instrumentacji orkiestrowej w przyszłych tego kompozytora utworach muzycznych.

O grze artystów, przedstawiających ważniejsze role tej opery, krótko powiemy: każdy z nich szczerze i sumiennie przyczynił się do jej powodzenia. Troschel, jako p. Serwacy Łagoda, wzorowym i myślącym artystą się okazał. Panna Dowiakowska rolę Zuzi śpiewa dobrze, mianowicie dumkę oddaje z uczuciem nawet, tylko, jak zawsze tak i teraz, musimy jej zarzucić brak



Scena z opery Moniuszki p. t. „Verbum nobile.“ Pan Marcin Pakuła (p. Keller) i Zuzia (panna Dowiakowska). (Cynkotyp Lewickiego).

cie sam polonez: „Dam ci ptaszka jakich mało.“ To perła, to brylant czystej wody, mający błyszczyć świetnym i nieprzyciemionym nigdy blaskiem w skarbnicze sztuki naszej muzycznej. Publiczność, zachwycona pięknością tego ustępu, zażądała powtórzenia; prawda że Keller, przedstawiający Marcina, przesłanym swym śpiewem, doskonałą deklamacją i grą nieporównaną ogromny w powodzeniu poloneza ma udział. Po nim za najcelniejszy dramatycznym opracowaniem numer, uważamy duet pomiędzy starymi karmazynami i nareszcie finał, kończący tę piękną operę.

Żal nam doprawdy, że o finale mianowicie, na tej małej wzmiance poprzestać musimy, bo tutaj właśnie otwiera się stosowne pole do oceny talentu Mo-

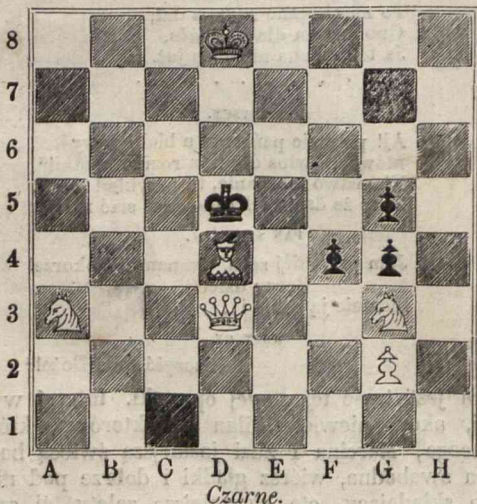
akeyi, prosząc zarazem o zmianę kostiumu, a przynajmniej o zarzucenie czapeczki futrzanej z piórem, stosowniejszej może w balecie i tym podobnych widowiskach. O Kellerze wyrażaliśmy już poprzednio naszą opinią; jeszcze raz zamknijmy ją w kilku słowach: artysta ten nieoszacowany, nieporównany jest w tego rodzaju rolach, i on też, po kompozytorze, prawdziwym jest bohaterem *Verbum nobile*. M. K.

SZACHY.

ZADANIE XLVIII.

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Białe.



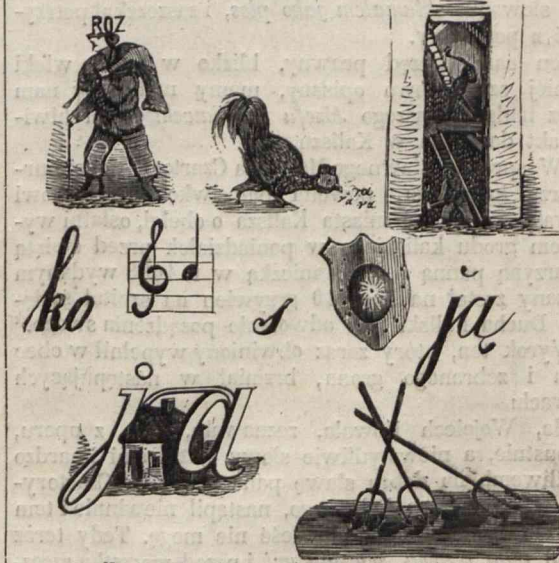
Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 46.

- | | |
|----------------------------|---------------------|
| Białe. | Czarne. |
| 1) E 5 — G 6 † | 4) F 8 — F 7 |
| 2) F 3 — E 5 † | 2) F 7 — F 6 |
| 3) G 2 — G 4 | 3) dowolne sunięcie |
| 4) G 4 — G 5 † | 4) H 6 — G 5 biorą |
| 5) H 4 — G 5 biorą † i mat | |

Rozwiązanie zadanie szachowego Nr. 47.

- | | |
|-----------------------|----------------|
| Białe. | Czarne. |
| 1) D 5 — C 5 | 4) E 7 — D 7 |
| 2) C 5 — B 6 | 2) D 7 — E 7 |
| 3) B 6 — A 7 | 3) E 7 — D 7 |
| 4) A 7 — B 7 | 4) D 7 — E 7 |
| 5) B 7 — C 8 | 5) E 7 — F 8 |
| 6) C 8 — D 7 † i mat. | |

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 67. Kto sieje groch w marec, ugotuje w garncu, a kto w maju, ten w maju.